

19. Pierwsza wizyta w Szkocji

19. Pierwsza wizyta w Szkocji

Moja pierwsza wizyta w Szkocji miała miejsce w lipcu 1855 roku. Oto powody, dla których ta wizyta pozostawiła trwałe wspomnienia. W niedzielę, 15 lipca, głosiłem rano w kościele baptystów na Hope Street i w kaplicy przy West George Street wieczorem. To był wspaniały widok widzieć oba miejsca zgromadzenia wypełnione ludźmi, ale spowodowało też większe moje poczucie odpowiedzialności. Wierzę, że na każdym z nabożeństw doświadczaliśmy obecności Boga i tego, że oba przyniosły wiele dobrych owoców.

Gazeta *The Glasgow Examiner* zamieściła sprawozdanie o tych pierwszych usługach w swoim wydaniu z 21 lipca, z tych dwóch pierwszych niedzielnych nabożeństw w Szkocji, którego fragment zacytuje:

„Wieczorem kaplica przy West George Street była wypełniona po brzegi. Na długo przed planowanym rozpoczęciem nabożeństwa, wielu musiało zawrócić, ponieważ nie mogli już wejść do środka. Tekst został zaczerpnięty z Obj. 14:1.

Wiele fragmentów kazania charakteryzowało się dużą dozą emocji i wyobraźni, aluzjami kaznodziei do Szkockiego Przymierza Protestantckiego, a męczennicy Szkocji pokazali, że wybrał on najkrótszą drogę do silnych, odważnych serc Szkotów. Jeden fakt wyraźnie pokazał, że mieli naprawdę zmiękczone serca. Kiedy wychodził z kaplicy, wszyscy starali się, jeśli to tylko było możliwe, uścisnąć mu dłoń, tak że tylko z wielkim trudem udało mu się dostać do podstawionego powozu.

Jeśli pan S. ponownie będzie głosił kazanie w Glasgow, mamy nadzieję, że będzie to w większym kościele, bo niewątpliwie wielu innych chciałoby go usłyszeć, po tym jak zostali poinformowani przez tych, którzy mieli przywilej bycia obecnym wczoraj."

Ponieważ pojechałem na północ częściowo na wakacje, spędziłem tydzień w Highlands w Szkocji, podziwiając wspaniałe krajobrazy. Było tam miejsce, gdzie mój przyjaciel Anderson, u którego się zatrzymałem i u którego mieszkalem podczas mojej wizyty, chciał, żebym poszedł: Aberfeldy, nieznane i dziwne małe miasteczko. Była tam kaplica Niezależnych i oczywiście Szkocki Kościół Narodowy. Ale nikt nie słyszał o człowieku, który nazywał się Spurgeon, więc trudno było przyciągnąć ludzi do słuchania ewangelii. Wczesnym rankiem Pan Anderson zapukał do moich drzwi i powiedział: „Znalazłem dla ciebie plan, jak zorganizować spotkanie na dzisiejszy wieczór". Odpowiedziałem mu: „Nie jestem przekonany co do tego planu, ale spróbuj, czy zadziała." O dziewiątej, o dwunastej i o trzeciej godzinie ulicami chodził krzykacz, który ogłaszał: „Stary wasz znajomy, Johnny Anderson, ten który od dawna mieszka w Aberfeldy, przybył i przyprowadził ze sobą swojego adoptowanego syna Tymoteusza, który będzie głosił dziś wieczorem kazanie." Potem nastąpił opis mojej pracy i moich sukcesów w Londynie oraz pilne zaproszenie wszystkich, aby byli obecni. Gdy zbliżała się wyznaczona godzina, „żywsi Szkoci" zaczęli się

zbierać i zanim rozpoczęło się nabożeństwo, kaplica była dość dobrze wypełniona. Kaznodzieja podał psalm, który następnie był zaśpiewany w bardzo pobożny sposób,

ale nie z takim ciepłem, do jakiego byłem przyzwyczajony, z jakim śpiewali moi serdeczni przyjaciele. Następnie przeczytałem fragment Biblii i wyjaśniłem go. Byłem bardzo zadowolony, kiedy zobaczyłem uwagę, z jaką każda pojedyncza osoba podążała za moimi prostymi interpretacjami, których zwykle udzielałem. Po modlitwie i śpiewie zacząłem głosić kazanie. Ale nie widziałem tam oczu pełnych ognia i żadnych promiennych twarzy, które by mnie dopingowały, gdy głosiłem ewangelię. Większa część zgromadzonych była całkowicie niezaangażowana. Zdawało się jakby byli kawałkami lodu, które przed chwilą wyłowiono z jeziora Wenham. Próbowałem wszystkiego, żeby nimi poruszyć, ale na próżno. Jeden raz, pewna uwaga wywołała uśmiech na dwóch lub trzech twarzach, ale reszta pewnie uznała, że to światowy śmiech i siedziała tam, jak ci dwaj wysocy władcy Egiptu w Kryształowym Pałacu. Oni patrzyli na mnie z dostojną, ale sztuczną powagą. Następnie doszedłem do bardziej poruszających tematów, ale chociaż sam się wzruszyłem, twarze moich słuchaczy, za wyjątkiem jednej albo dwóch, były bez łez. Czułem się jak Walijszyk, który potrafi opowiedzieć dwa walijskie dowcipy, ale nie potrafi ruszyć Anglika z miejsca. Pomyślałem sobie: tutaj zdaje się, że krew jest bardzo zimna, inaczej dostrzegł bym oznaki współczucia, jak wszędzie indziej, gdzie wcześniej głosiłem o Chrystusie i o Nim jako o ukrzyżowanym. Jasne, niektórzy wydawali się być pod wrażeniem, ale ogólnie rzecz biorąc, nigdy nie widziałem tak zimnego zgromadzenia jak to. Kazanie zostało wygłoszone, odmówiono modlitwę na zakończenie i wszyscy pospieszyli do drzwi, aby wyjść na zewnątrz. Zanim zszedłem z kazalnicy, kaplica była pusta, wszyscy się rozproszyli. Wyszedłem na ulicę dość zasmucony tym niezwykłym nabożeństwem i z radością stwierdziłem, że ludzie w kaplicy chociaż byli zimni jak marmur, ale teraz serdeczni i pełni uczuć. Wierzę, że Święty Izraela w cichości czynił niektóre dzieła. Szczere podziękowania za moje przybycie i pilne prośby, abym odwiedzić ich jeszcze raz, to wszystko pokazało mi, że niektórzy chętnie przyjęli moją służbę, mimo chłodnej formalności, którą im wpojono.

Obiecałem, że będę głosił w Bradford w niedzielę 22 lipca. W drodze do Yorkshire zatrzymałem się nad jeziorem Windermere, gdzie odbyłem rejs żaglówką i cieszyłem się całym pięknem krajobrazu. Kiedy dotarłem do Bradford, dowiedziałam się, że moi przyjaciele wynajęli tam halę muzyczną, która według nich może pomieścić o tysiąc osób więcej niż Exeter Hall. A jednak nie była ona i tak wystarczająco duża dla tłumów, które przychodziły. W niedzielę rano, mniej więcej taka sama ilość osób jaka już się w hali znajdowała - musiała odejść ponieważ nie zmieściła się w środku. Ulice były jednym nieruchomym blokiem żywych mężczyzn i kobiet. Sala była wypełniona po brzegi, ledwo co mogłem się poruszać, podczas gdy przekazywałem ludziom to, co miałem do nich powiedzieć. Pod koniec dnia, z radością stwierdziłem, że nie tylko tysiące ludzi usłyszało ewangelię, ale że oni podarowali też 144 funty na szkołę niedzielną.

Z Bradford udałem się do Stockton-on-Tees i tam również głosiłem do bardzo dużego zgromadzenia.

W drodze powrotnej ze Szkocji odprawiłem kolejne nabożeństwo w Queen Street Hall w Edynburgu w środę wieczorem, 25 lipca. Czasopismo The Christian News w swoim wydaniu z 28 lipca opisuje tę usługę w następujący sposób:

Pastor C. H. Spurgeon w Edynburgu.

Jak reklamowano w gazetach i na plakatach, głosił pastor Spurgeon, którego występ w Exeter Hall, w Londynie, przyciągnął tak wiele uwagi, w środę, 25 lipca wieczorem, w Queen Street Hall w Edynburgu. Przydzielono nam trzy miejsca, z dobrym widokiem na scenę. Czekaliśmy przez trzy kwadransy wraz z ogromnym tłumem i jak się okazało, wieczorem, nasze wysiłki zostały nagrodzone tylko po części. Retoryka pana Spurgeona była nieumiejętna i ponura aż do końca - jak sam przyznał, duch go opuścił. Czy nie była to kara za jego nieprzygotowanie? Chwalił się bowiem, że nigdy się nie przygotowuje do mowy, co w naszych uszach zabrzmiało, zwłaszcza jak słyszysz to od kaznodziei - jakby chciał się wykąpać we własnym wstydzie, kiedy poinformował słuchaczy, że jego mowa jest czasem jak górski potok i pędzi jak skrzydlaty rydwan ognia. Było nam przykro z powodu pana Spurgeona, a jeszcze bardziej z powodu jego przyjaciół i żał nam było słuchaczy, którzy w większości byli bardzo zdolnymi ludźmi i najwyraźniej przyszli, aby usłyszeć kogoś, kto miał być wyjątkowy za kazalnica. Tym, że pan Spurgeon stał się gwiazdą w Londynie, nie jesteśmy zaskoczeni. Pamiętam, że pan Bay z Bath powiedział, że londyńska publiczność była najbardziej prostoduszną publicznością, jaką można znaleźć na tej ziemi i każdy człowiek, który stojąc na głowie ryczy, powoduje ogromne zgromadzenie wokół siebie, bez względu na to, czy wulgarne i bezczelne rzeczy mówi. Pan S. jest w naszej ocenie po prostu zdeprawowanym chłopcem, którego zdolności są nie więcej niż przeciętne. Z pewnością, jeśli nie cofnie wszystkiego podzieli los >Cespirit Gooseberry< i >Monster Cucumber<, które pojawiają się niemal regularnie w gazetach raz do roku - zapadnie w zapomnienie, pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie swojej kariery; pokaże, że zniknął w nicości, z której się wyłonił."

Aluzja w tym fragmencie, że zostałem opuszczony przez Ducha Bożego, było grubym wyolbrzymieniem faktu, gdyż nie powiedziałem, że nie przygotowałem się do tej służby. A jednak to wydarzenie bardzo głęboko utkwilo mi w pamięci i sercu. Myślę, że prawdziwą lekcją, jaką miałem wynieść z tego było to, co przekazałem swoim ludziom po powrocie do Londynu. Powiedziałem do nich: Pewnego razu, kiedy wygłaszałem kazanie w Szkocji, spodobało się Duchowi Bożemu, aby mnie opuścił. Nie mogłem mówić tak, jak zwykle to robiłem. Musiałem powiedzieć ludziom, że koła ognistego wozu były zdjęte i wóz był bardzo mocno ciągnięty. Od tamtej pory odczuwam skutki tego doświadczenia. To mnie głęboko upokorzyło. Gdybym mógł, to ukryłbym się w jakimś ukrytym zakątku ziemi. Czułem się tak, jakbym już nigdy więcej nie miał przemawiać w imieniu Pana. Wtedy przyszła myśl: Och, jesteś niewdzięczną kreaturą! Czy Bóg nie przemawiał przez ciebie setki razy? Ten jeden raz, kiedy On nie chciał tego zrobić, czy robisz Mu wyrzuty z tego powodu? Nie, raczej podziękuj Mu za to, że był z tobą tak długo. Jeśli On opuścił cię raz, to podziwiał Jego dobroć, że trzymać cię chce w pokorze". Niektórzy mogą uważać, że brak przygotowania doprowadził mnie do tego stanu, ale mogę szczerze powiedzieć, że tak nie było. Zawsze uważałem, że moim obowiązkiem jest szukać moich kazań u mojego Pana i prosić Go, aby dał mi zrozumieć. Myślę, że przygotowałem się jeszcze staranniej niż zwykle, więc nieprzygotowanie nie było powodem braku autorytetu, który odczuwałem. Powód jest dość prosty: „Wiatr wieje dokąd chce“. Czasami jest tak, że wiatr ucicha. Jeśli chcę polegać na Duchu Bożym, to nie mogę oczekiwać, że zawsze tak samo będę odczuwał Jego moc. Cóż mógłbym uczynić bez Jego niebiańskiego wpływu? Jemu zawdzięczam wszystko.

Inni słudzy Pańscy mieli doświadczenia podobne do moich. W biografii Whitefielda czytamy, że czasami pod jego kazaniem nawracało się dwa tysiące ludzi. A innym razem głosił z taką samą mocą, ale nie nawracał się nikt. Dlaczego tak się dzieje? Po prostu dlatego, że w jednym przypadku Duch Święty poszedł ze słowem a w drugim przypadku tego nie uczynił. Wszystkie niebiańskie rezultaty zwiastowania, zależne są od Bożego Ducha posłanego z nieba.

Następnej niedzieli (29 lipca) głosiłem jeszcze dwa razy w Glasgow. Poranne nabożeństwo odbyło się w kaplicy przy ulicy West Nile. Znowu potrzebny byłby znacznie większy budynek, aby pomieścić wszystkich ludzi, którzy chcieli przyjść. Wieczorem głosiłem kazania w kościele Greyfriar, a ten przestronny dom modlitwy był również wypełniony po brzegi. Później redaktor gazety w Glasgow zapewnił mnie, że jeszcze 20.000 ludzi musiało odejść, bo nie mogli się już dostać do środka. Ponownie doświadczyłem pomocy mego łaskawego Pana, gdy głosiłem Jego prawdę przed żadnym wrażeń tłumem, który przyszedł, aby słuchać.

W następny czwartek, mój łaskawy pan Anderson, u którego gościłem, zaprosił do swojego domu około stu znajomych i przyjaciół, żeby mogli się ze mną pożegnać. Opowiedziałem im o drodze, jaką Pan prowadził mnie w tej służbie i o błogosławieństwach, które już otrzymałem. Na ich usilną prośbę obiecałem, że w miarę możliwości będę ich odwiedzał raz w roku. Powiedziałam im, że traktowali mnie lepiej niż na to zasługiwałem - na pewno ze względu na mojego Pana. Nie wiem, jak to się dzieje, że ludzie są dla mnie tacy dobrzy.

Nigdy nie zabiegałem o poklask ludzi, a jednak Bóg obdarzył mnie wszelką przychylnością w oczach ludzi. Dlatego też obecnie jest to moim obowiązkiem wykorzystanie tej łaski dla Jego chwały. Nie mam się przez to wywyższać, ale dziękować Mu za to i używać tego wszystkiego w służbie dla Niego.